

Marcin Szczygielski „Prawdziwi przyjaciele”

— I już grudzień za pasem — wzdycha Janka. — Czwarty miesiąc idzie, święta niedługo.

a miała się wojna do Bożego Narodzenia skończyć.

— Naprawdę? — dziwię się. — Kto ci tak powiedział?

— Wszyscy.

Przekłada koszyk do drugiej ręki i idzie skrajem parkowej alejki, szurając bucikami w stertach liści. Dziś jest ponura jak listopadowe niebo nad nami.

Janka to nasza służąca. Ma siedemnaście lat, brązowe włosy i mnóstwo piegów, które stanowią jej wielkie utrapienie. Każdego miesiąca lwią część pensji przeznaczają na coraz to inne specyfiki, dzięki którym jej cera ma się stać „nieskazitelna i świetlista jako lilii kwiat”. Tak właśnie reklamowany był środek, który kupiła w sierpniu. Po jego zastosowaniu zlazła jej cała skóra z nosa, a gdy wreszcie wszystko się zagoiło, piegi powróciły. I to ze zdwojoną siłą, jak orzekła nasza kucharka Pela. Zdaniem mamy, Pela ma przykrą naturę, bowiem jest nazbyt koścista. Janka, która Peli nie darzy sympatią, całkowicie się z mamą zgadza.

— Pokaż mi dobrą kucharkę, która nie jest przy kości — mawia. — Chude są tylko te, co nie lubią jeść. A skoro ktoś jedzenia nie kocha, to jak może dobrze gotować?

Moim zdaniem Pela gotuje całkiem nieźle, ale rzeczywiście lubienie jej wymaga sporego wysiłku, bo ma cięty język i potrafi być złośliwa.

Choć dopiero minęła czternasta, w Skaryszaku zapada już lepki, siwy mrok. Patrząc na kikuty spalonych drzew za sadzawką.

— Czy widzisz te drzewa, Janko? — pytam.

— A co mam nie widzieć? Widzę.

— Przyjrzyj się im dobrze — mówię cicho, a potem ciągnę złowieszczo — popatrz, jak wyciągają swoje czarne, ogołoczone konary do nieba, niczym trupie szpony czyhające na nieroztropną ofiarę...

— Och! — Janka blednie i przystaje, po czym odwraca się do mnie z gniewną miną.

— Maciek! Przysięgam, że ci kiedyś porządnie uszu natrę! Skąd ty te pomysły bierzesz, to ja

pojęcia nie mam. Mało ci, że przez ciebie muszę do sklepu drogi nadkładać przez Lubelską po tych głupotach, coś mi nagadał o pustym domu Jańczaka? Teraz jeszcze i do parku Paderewskiego chcesz mnie zrazić?

— Oj, Janeczko... — przybieram przymilny ton. — Przecież wiesz, że ja tylko tak dla hecy.

— Ja ci dam hecę! Taką, że się nie pozbierasz! — Grozi mi palcem, a potem rusza szybszym krokiem, zerkając z ukosa na spalone drzewa za sadzawką.

Choć mam wyrzuty sumienia, ledwo udaje mi się zachować powagę. Janka wierzy we wszystko, więc wprost aż prosi się, żeby jej opowiadać podobne historie! Inna rzecz, że ogromnie lubię je wymyślać.

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu wpadł mi do głowy tak przedni koncept, że natychmiast musiałem się nim podzielić. Pech, że akurat ani Mietka, ani rodziców nie było w domu, a i Janka miała wychodne. Zaszedłem więc do kuchni, usiadłem sobie na zydelku obok białego kredensu i zacząłem opowiadać Peli o trzech wisielcach z naszego strychu. Nic nie mówiła, zagniatała ciasto na chleb. Historia tak mi się układała, że wystarczyło usta otworzyć, a słowa wypływały ze mnie potokiem. Sam siebie słuchałem z wielkim zainteresowaniem. W pewnym momencie poczułem taką grozę, że aż mi włosy dęba stanęły na głowie i krzyknąłem, przyciskając dłoń do ust. Pela popatrzyła na mnie, wytarła ręce w kuchenną ściereczkę i oznajmiła chłodnym tonem:

— Z twoją głową, Maciuś, to coś mnie się zdaje, nie wszystko jest w porządku. Idź ty sobie lepiej poczytaj coś, albo patefonu posłuchaj, bo mi tu tylko zawadzasz.

Spać potem w nocy nie mogłem ze strachu. Leżałem pod kołdrą mokry od potu i mi te trzy zmyślone wisielce przed oczami w ciemnościach tańcowały. Gdy zegar w salonie wybił północ, nie wytrzymałem. Wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem spać do Mietka. Nie był temu zbyt rad, ale w końcu jest moim starszym bratem, więc jak mógłby mnie przepędzić.

Mam oczywiście wielu kolegów, którym czasami opowiadam moje straszne historie. Henryś, Fredek, Maniuś i Ignaś to moi najbliżsi przyjaciele w tym roku. Wszyscy chodzimy do tej samej klasy i mieszkamy przy Grochowskiej. Kłopot w tym, że zazwyczaj widzimy się w dzień, albo w większym gronie, a to nie sprzyja nastrojowi. Taka opowieść wymaga odpowiedniego — jak to mawia nasza praciocia — anturażu. Potrzebny jest spokój,

wieczorny mrok i cisza. Praciocia bardzo lubi słuchać moich opowieści, ale niestety mieszka za Wisłą, przy ulicy Wielkiej, tuż za Dworcem Głównym, a my rzadko ją odwiedzamy.

Mija nas dwóch młodych niemieckich żołnierzy. Moje rozbawienie znika natychmiast, żołądek ściska się ze strachu, a szczęki z nienawiści. Jeden z chłopaków szwargocze coś do Janki, która garbi się, mocniej ujmuje koszyk i przyspiesza kroku.

— Czego chciał? — pytam, gdy wychodzimy z parku na ulicę Stanisława Augusta.

Niemieckiego uczę się dopiero od wakacji i niezbyt dobrze mi idzie.

— Niczego. — Janka wzrusza ramionami. — Powiedział, że jestem ładna.

— O, widzisz! Mawiasz, że przez te piegi nawet pies z kulawą nogą się za tobą nie obejrzy. A tu proszę.

— To ja już bym psa wołała! Takich komplementów nie potrzebuję. Na pewno nie od nich — ucina.

Przechodzimy przez podwórko i wspinamy się wąskimi, krętymi schodami klatki dla służby na nasze drugie piętro. Lubię tędy chodzić. Stopnie są drewniane, skrzypią jękliwie pod naciskiem kroków. Ścian nie bielono od dawna, w wąskich okienkach wiszą festony pajęczyn. Bez trudu mógłbym wymyślić niejedną rozgrywającą się tutaj przerażającą historię, jednak nie robię tego z litości dla Janki, bo gdybym ją śmiertelnie przeraził, to którędy by wracała do domu? Przecież nie frontową klatką, bo ona nie dla służby.

Wchodzimy do mieszkania kuchennymi drzwiami. Janka stawia koszyk na stole.

— Cukier był. Wzięłam kilo. I migdały dostałam, cud jakiś. Co Pela nic nie mówi?

Kucharka opiera się o zlew i patrzy na mnie bez słowa.

— Stało się coś? — pytam i szybko zastanawiam się, czy czegoś aby nie przeskrobałem. Nie, chyba nie... Na pewno nie! W ogóle dziś do kuchni nie zaglądałem. Po szkole zaraz poszliśmy na zakupy.

Janka nie zwraca uwagi na Pelę. Wyjmuje z koszyka pakunki, a na końcu ostrożnie sięga po schowany na samym dnie słoiczek.

— Krem Halina — mówi z nabożnym wręcz zachwytem. — Widziałam reklamę w „Kinie”. Byle czego by tam nie reklamowali, to taka porządna gazeta. Majątek kosztował, ale na pewno się ich wreszcie pozbędę. Moje piegi znikną!

— Taaa... Razem z mózgiem — rzuca Pela, wciąż przyglądając mi się nieodgadzionym wzrokiem.

— Ależ z jakim mózgiem? — pyta z żachnięciem Janka.

— Właśnie sama się zastanawiam...

— Też coś! Przy Peli to nic, tylko się wieszac. Ostatnią iskierkę radości by Pela zdusiła w człowieku — prychna Janka.

— Idź lepiej do pokoju, Maciek — zwraca się do mnie kucharka.

— A dlaczego? — pytam zaniepokojony.

— Idź, idź. Wszyscy już są.

Wszyscy? Mój niepokój rośnie. Zdejmuję płaszcz i czapkę, podaję je Jance. Starannie wycieram trzewiki i ruszam korytarzem do salonu. Jacy wszyscy? A skoro mamy gości, to dlaczego jest tak cicho? Staję w progu i rozglądam się zaskoczony. Przy stole siedzi mama, obok niej ojciec. Dalej praciocia i wuj Staszek, stary kawaler. Mietek stoi obok wysokiego postumentu z alabastrowym popiersiem Mickiewicza. Jest też ciotka Rena z synem Robertem, którego szczerze nie cierpię, bo powiedział kiedyś, że mam zęby jak nutria. Oczywiście było to szkaradne kłamstwo, ale nie potrafię zapomnieć jego słów. Od tamtej pory znacznie rzadziej szeroko się uśmiecham.

— Dzień dobry — odzywam się.

Nikt nic nie mówi. Praciocia zerka na mnie spod czarnego, koronkowego czepka, po czym znowu spogląda na stół. Podchodzę bliżej.

Na przykrytym szklaną taflą okrągłym blacie obok pękatego wazonu z bukietem woskowych kwiatów leżą białe, prostokątne kawałki płótna. Na każdym błękitnieją wyszyte przecinające się linie. Skrzyżowane trójkąty. Znam ten znak. To żydowski symbol, gwiazda Dawida. Nic nie rozumiem.

— Co to jest? — pytam.

— Opaski — odpowiada głucho ciotka Rena.

— Opaski? Jakie opaski? Po co?

— Nie: po co, a dla kogo. Dla nas — rzuca drwiąco Mietek, a choć ton ma lekki, orientuję się, że jest okropnie zdenerwowany.

— Dla nas? Jak to, dla nas? Dlaczego dla nas? — dopytuję, zbaraniałym wzrokiem gapiąc się na opaski.

Jest ich osiem.

— Niemiecki nakaz. Od trzech dni wszyscy w dystrykcie warszawskim muszą nosić opaski z tarczą Dawida — odzywa się ojciec.

— Żydzi — dopowiada mama.

— Co? — Ojciec spogląda na nią spod zmarszczonych brwi.

— Wszyscy Żydzi — wyjaśnia.

— A, tak, oczywiście. Wszyscy... Żydzi.

— Panie Jezu przenajśłodszy! — jęczy ciotka Rena i zaczyna pochlipywać.

— Reniu, uspokój się proszę — upomina ją łagodnie wuj Staszek. — Akurat teraz nie czas na histerię.

— Histerię! — Ciotka przestaje chlipać i robi obrażoną minę.

— Ale co my z tym mamy robić? — pytam. — Z tymi opaskami?

— Nosić, Maciusiu. Nosić — wzdycha praciocia. — Wóz odpoczywa zimą, sanie latem. A koń nie odpocznie nigdy. Choćby się i w jelenią skórę przystroił.

— Ciotyszko, ja proszę — wzdycha mama.

— Ale... — zająkuję się. — Ale skoro one są dla Żydów, to dlaczego my... Przecież jesteśmy Polakami!

— Owszem. Polakami. Żydowskiego pochodzenia — uściśla wuj Staszek.

Ciotka Rena znów pochlipuje. Robert siedzi obok niej czerwony na twarzy jak burak.

— Ale my chodzimy do kościoła! — wykrzykuję zdumiony. — Choinkę ubieramy! Ja byłem u komunii! Cała nasza rodzina przyszła

— No, nie cała — mówi praciocia. — Mamy wielu krewnych, których nie znasz.

— Tyś wiedział o tym? — pytam Mietka oskarżycielskim tonem, ale tylko wzrusza ramionami.

Czuję się zdradzony. Dlaczego mi nikt nie powiedział? Okłamywali mnie! Jestem... Jestem Żydem? My wszyscy jesteśmy?

Podchodzę do stołu. Sięgam po jedną opasek, oglądam. Haft jest bardzo staranny. Kto je wyszywał? Na pewno praciocia.

— Przecież to tylko kawałek płótna — odzywam się po dłuższej chwili. — Tylko szmatka.

Przekładam przez nią dłoń i wciągam opaskę na ramię.

— Co taki drobiazg niby zmienia? Nic! — oznajmiam.

— Mylisz się, mój synu — mówi ojciec. — Taki drobiazg zmienia wszystko.

— Niemcy też noszą opaski. Tyle, że czerwone ze swastyką.

— Masz rację — kiwa głową praciocia. — Ale ich opaski są po to, żebyś wiedział, komu masz czapkować. A te są po to, aby oni wiedzieli, kogo opluwać.

Robert nagle zrywa się z krzesła, które z łoskotem przewraca się na posadzkę. Rozgląda się ze straszną miną, po czym cedzi:

— Ja nie jestem żadnym parchatym...

Mama wstaje błyskawicznie i wymierza mu policzek. Uderzenie brzmi jak wystrzał. Robert otwiera szeroko usta, jego okrągłe ze zdumienia oczy wypełniają się łzami.

— Niusiu, to naprawdę nie było konieczne — mówi ciotka Rena lodowatym głosem.

— Ależ było, kochanie — praciocia poklepuje ją po dłoni, a potem sięga po jedną z opasek.

Mama bierze następną, kolejną podsuwa ojcu.

— W domu nie musimy tego nosić, prawda? — pytam.

— Nie, oczywiście, że nie. Ale chyba powinniśmy się oswajać — oznajmia mama i szybko zakłada opaskę na rękaw swojej granatowej, jedwabnej sukni.

Praciocia idzie w jej ślady. Potem wuj Staszek, Mietek, ojciec, wreszcie ciotka Rena, która ostatnią opaskę podaje Robertowi.

— Proszę, synku — mówi. — Weź.

Mój kuzyn sięga po opaskę z ociąganiem. Łzy spływają po jego twarzy. Cóż, ja może mam zęby jak nutria, za to on płacze jak bóbr.

— Weźże się w garść! — warczy do niego Mietek.

Nagle w korytarzu rozlega się głośny stukot kroków, potem dźwięk otwieranych zamków i wreszcie huk zatrzasniwanych drzwi wejściowych, od którego aż dzwonią szyby serwantki. Ostatni raz brzęczały tak we wrześnie, podczas bombardowań Warszawy.

— Cóż tam się znowu dzieje? — mruczy mama i podnosi się z krzesła.

W progu salonu staje Pela. Spracowane, czerwone dłonie splotła na brzuchu, usta ściągnęła w ciup. Przygląda nam się spokojnie.

— Co się stało, Pelasiu? — pyta mama.

— Janka odeszła — oznajmia po chwili kucharka.

— Odeszła? Jak to, odeszła? Przecież ma niezapłacone! Jak to tak, bez dania racji odeszła?

— Mama robi bezradną minę.

— Powiedziała, że przyśle stryjka po pieniądze i resztę rzeczy.

— I nic więcej nie mówiła?

— A mówiła.

— Co?

— Naprawdę chce pani wiedzieć?

— Niechże Pelasia się ze mną w kotka i myszkę nie bawi, tylko mówi prosto z mostu!

— mama traci cierpliwość.

— Powiedziała, że ona się do służby u Żydów nie godziła. I że gdyby wiedziała, to...

— Wystarczy — ucina mama.

Oddycha głęboko, prostuje się, unosi wyżej podbródek. Mierzy kucharkę dumnym wzrokiem. Wydaje mi się piękniejsza niż kiedykolwiek.

— Jeśli Pelagia sobie życzy, mogę Pelagii wypłacić pobory od ręki. Miesiąc się kończy akurat, ale dam z górką, żeby Pelasia stratna nie była. Referencje oczywiście... To znaczy, jeśli w ogóle...

— Ja nie wiem, o czym pani do mnie mówi — przerywa jej Pela spokojnym głosem.

— A to Pela nie chce posady wymówić? — pyta mama.

— Czemu niby ja bym miała taką dobrą posadę w adwokackim domu u takich porządnych ludzi wymawiać?

— Bo w tej sytuacji... Pomyślałam, że skoro Janeczka... To i Pela.

Mama opuszcza ramiona i z cichym westchnieniem opada na krzesło.

— To, że ja w obyciu mało przymilna, a w słowach cierpka bywam, nie znaczy, że mi serca i rozumu braknie. Czy wy Żydy, czy nie, innej rodziny ja nie mam — odzywa się Pela i dodaje:
— Czy herbaty podać, zapytać chciałam?

Mama próbuje coś powiedzieć, ale braknie głosu.

— Oczywiście, miła Pelu — odzywa się praciocia. — Napijemy się herbaty. Chętnie z konfiturą, jeśli jest.

— Jeszcze jest. Malinowa. Jeden słoik na specjalną okazję trzymam. Podać?

— Tak, zdecydowanie. Akurat dziś malinowa konfitura wszystkim nam dobrze zrobi.

— Janka odeszła... — mamroczę. — Nawet się nie pożegnała. Myślałem, że jest moją przyjaciółką. Mówiła, że mnie lubi.

— Och, Maciusiu! — Praciocia uśmiecha się do mnie smutno. — Gdyby słowa były mostem, bałabym się po nim chodzić.

— A inni moi przyjaciele? Ignaś, Henryś? Fredek, Maniek? Co powiedzą, co zrobią, gdy zobaczą mnie w tej opasce?

— Pokażą ci, który z nich jest prawdziwym przyjacielem. Zresztą my wszyscy wkrótce dowiemy się, czy ich mamy — mówi ojciec.

— Oczywiście, że mamy, Adasiu! — mówi praciocia. A potem, kiwając głową w stronę korytarza, którym właśnie odeszła Pela, dodaje: — Jak widać prawdziwymi przyjaciółmi niekiedy okazują się ci, których najmniej byśmy o to podejrzewali.